

KSIEGA PIERWSZA
WRÓCONY ŻYCIU



Rozdział I

EPOKA

Była to najlepsza i najgorsza z epok, wiek rozumu i wiek szaleństwa, czas wiary i czas zwątpienia, okres światła i okres mroków, wiosna pięknych nadziei i zima rozpacz. Wszystko było przed nami i nic nie mieliśmy przed sobą. Dążyliśmy prosto w stronę nieba i kroczyliśmy prosto w kierunku odwrotnym. Mówiąc zwięźle, były to lata tak bardzo podobne do obecnych, że niektórzy z najhałaśliwszych znawców owej ery widzą w niej dobro i zło takie samo jak dzisiaj, tylko w nieporównywalnie wyższym stopniu.

Na tronie Anglii zasiadał król o wydatnej dolnej szczęce i królowa o szpetnym obliczu. Na tronie Francji zasiadał król o wydatnej dolnej szczęce i królowa o powabnym obliczu. W obydwu tych państwach mężowie stanu odpowiedzialni za cudowne rozmnażanie ryb i bochnów chleba widzieli jaśniej niż słońce, że ogólny porządek rzeczy został ustalony raz na zawsze.

Był rok Pański tysiąc siedemset siedemdziesiąty piąty. W owym chwalebnym okresie objawienia duchowe spływały na Anglię nie rzadziej niż obecnie. Joanna Southcott¹ ukończyła dwudziesty piąty rok życia, a pojawienie się jej obwieszczało natchniony szeregowiec Gwardii Królewskiej, który zapowiadał ponadto, że poczyniono już wszystkie przygotowania do całkowitego zniszczenia Londynu i Westminsteru. Ba! Ledwie przed dwunastoma laty został zdemaskowany

¹ Joanna Southcott (1750-1814) – wizjonerka religijna. Miała licznych zwolenników i była nawet założycielką sekty (przyp. tłum.).

Upiór z Koguciego Zaułka², który uprzednio wystukiwał swoje orędzie metodą bardzo zbliżoną do tej, jaką posługują się pozbawione oryginalności nasze duchy z bieżącego lub ubiegłego roku. Inne orędzia, całkiem naturalne i ziemskie, otrzymywał król i naród angielski od kongresu brytyjskich poddanych w Ameryce i – dziwna rzecz – orędzia te okazały się ważniejsze dla ludzkości niż jakiegokolwiek wieści pochodzące od progenitury Upiora z Koguciego Zaułka.

Francja – na ogół biorąc, mniej uprzywilejowana pod względem duchowym niż jej siostrzyca z tarczą i trójzębem – gładko staczała się po pochyłości, drukując i wydając papierowe pieniądze. Ponadto korzystała w pełni ze światłego przewodnictwa chrześcijańskich duszpasterzy i wymyślała takie na przykład rozrywki, jak skazanie na obcięcie ręki, wyrwanie języka i spalenie żywcem pewnego wyrostka za to, że nie ukląkł podczas deszczu, aby oddać hołd procesji brudnych mnichów, która ciągnęła w polu widzenia lub oddalona o pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt jardów. Zapewne w dniu, gdy uśmiercano okrutnie owego męczennika, w lasach Francji i Norwegii rosły już drzewa, które Drwal-Przeznaczenie wybrał do ścięcia i przetarcia na deski, aby z desek powstała groźna i dobrze znana w historii maszyna składająca się z przenośnego rusztowania, noża i worka. Zapewne w szopach włóścian uprawiających gliniaste grunty w okolicach Paryża stały gdzieś wozy pokryte zastarzałym błotem, obwąchiwane przez świnię, używane przez drób jako grzędę – wozy, które Rolnik-Śmierć wyznaczył już na furgony Wielkiej Rewolucji. Ale owi Drwal i Rolnik pracowali w milczeniu, chociaż nieustannie, i stłumionych ich kroków nie łąwiło niczyje ucho, a wszelkie słowa na temat ich domniemanej działalności uchodziły za wystąpienia bezbożne i zdradzieckie.

Tymczasem w Anglii stan porządku publicznego i bezpieczeństwa nie upoważniał do narodowej dumy. Śmiałe zbrojne włamania i uliczne rabunki zdarzały się w stolicy co noc. Władze publiczne przestrzegały obywateli, by wyjeżdżając z miasta, oddawali na

² Upiór z Koguciego Zaułka (Cock-Lane Ghost) – domniemany upiór, któremu przypisywano złowieszcze hałasy w domu przy Kogucim Zaułku numer 33. W 1762 roku zdemaskowano nieuczciwych lokatorów tego domu, ale sprawa nabrała szerokiego rozgłosu (przyp. tłum.).

przechowanie ruchomości. Rozbójnik nocny był za dnia kupcem, kiedy więc w roli „herszta bandy” zatrzymywał sąsiada, klienta i zostawał rozpoznany, odważnie strzelał w łeb napadniętemu i odchodził bez lęku. Pewnego razu siedmiu rabusiów urządziło zasadzkę na dylizans; konduktor zastrzelił trzech, sam zaś zginął z ręki pozostałych czterech, ponieważ „wyczerpał zapas amunicji”; następnie złoczyńcy bez przeszkód dokonali rabunku. Lord Mayor Londynu został zatrzymany na Tumham Green przez pojedynczego bandytę, który ograbił wszechmocnego dygnitarza na oczach całej jego świty. W londyńskich więzieniach skazańcy staczali bitwy ze strażnikami, a majestat prawa narzucał posłuch, stosując garłacze ładowane siekańcami i kulami. Na dworskich salonach złodzieje kradli najdostojniejszym lordom krzyże wysadzone brylantami. Szukając towarów z przemytu, muszkietierowie wkraczali do Przytułku Świętego Idziego; tłum strzelał do muszkietierów, a muszkietierowie do tłumu i nikt nie widział w tych zdarzeniach nic osobliwego. Pośród takiego zamętu kat – ustawicznie zajęty, chociaż na nic nieprzydatny – bez wytchnienia pełnił swe obowiązki: raz brał na powróż długi szereg rozmaitego pokroju przestępców, innym razem wieszał w sobotę ujętego we wtorek włamywacza albo w więzieniu Newgate tuzinami wypalał piętna, albo na placu przed pałacem westminsterskim palił nielojalne broszury; dzisiaj pozbawiał życia zwyrodniałego mordercę, jutro włóczęgę-nędzarza, który ukradł sześć pensów parobkowi z farmy.

Wszystko to i wiele jeszcze podobnych rzeczy działo się w roku Pańskim tysiąc siedemset siedemdziesiątym piątym oraz w latach poprzednich i następnych. Drwal i Rolnik czynili swoje, chociaż nikt na nich nie baczył, a dwaj królowie o wydatnej dolnej szczęce i dwie królowe (jedna o szpetnym, druga o powabnym obliczu) kroczyli naprzód pewnym i dostojnym krokiem, i mocno dzierżyli swoje od Boga dane prawa. Rok ów wiódł zatem ich królewskie moście, a wraz z nimi miliony pośledniejszych istot (w tej osobie i bohaterów naszej kroniki) rozlicznymi drogami.

Rozdział II

DYLIŻANS

W piątkową noc pod koniec listopada gościniec do Dover ciągnie się przed pierwszą osobą, która ma w tej opowieści rolę do odegrania. Gościniec ciągnął się także za tym człowiekiem i za dyliżansem, gdy ów piał się pod górę w okolicy Shooter. Człowiek szedł również pod górę w błocie obok dyliżansu (podobnie jak pozostali pasażerowie), nie dlatego, aby nęciła go przechadzka, ale dlatego, że droga była stroma i grząska, a uprzęż i pojazd ciężkie. Konie zatrzymywały się już trzykrotnie, a raz stanęły w poprzek kolein, jak gdyby powodowane buntowniczym duchem próbowały zawrócić do Blackheath. Wszelako poczytliw i woźnica przy użyciu lejców i bata dowiedli wspólnymi siłami, że nietrudno podważyć słuszne skądinąd twierdzenie, jakoby zwierzęta miały rozum. Zaprzęg skapitulował i pokornie wrócił do roboty.

Ze zwieszonymi łbami i opuszczonymi ogonami konie szamotały się i ślizgały co chwila, jak gdyby nogi łamały im się w stawach. Ilekroć po krótkim odpoczynku woźnica zbierał wodze i powtarzał monotennie: „Wio! Hej! Wio!”, prawy lejcowy potrząsał głową i wszystkim, co się na niej znajdowało, jak gdyby powątpiewał o możliwości wywindowania ciężkiego wehikułu na grzbiet wzgórza. Ilekroć prawy lejcowy robił taki hałas, pasażer wzdrygał się (jak przystało zdenerwowanemu pasażerowi) i tracił wątek myślowy.

Pierzasta mgła zalegała wszystkie zagłębienia i leniwie wspinała się po stoku, niby zły duch, co szuka i znaleźć nie może wytchnienia. Lepka, przejmująco zimna mgła sunęła przez powietrze tumanami,

które doganiały się wzajemnie i prześcigały na podobieństwo fal zmętniałego morza. Była wystarczająco gęsta, aby przed blaskiem latarni osłonić wszystko z wyjątkiem samego dyliżansu i kilku jardów drogi. Opar ze zdrożonych koni łączył się z mgłą, co stwarzało złudzenie, że w taki właśnie sposób powstało całe wilgotne kłębowisko.

Oprócz interesującej nas osoby dwaj inni pasażerowie wlekli się obok pustego dyliżansu. Wszyscy trzej byli okutani wyżej uszu, a na nogach mieli podróżne buty z cholewami. Żaden z nich nie potrafiłby określić, jak tamci dwaj wyglądają, gdyż liczne okrycia i szale kryły ich wzajemnie zarówno przed zmysłem wzroku, jak i przed oczyma wyobraźni. W owe lata podróżni byli na ogół trwożliwi i unikali przygodnych znajomości, bo na gościńcu każdy mógł być rabusiem lub cichym współnikiem rabusiów. Ta ostatnia możliwość wydawała się szczególnie prawdopodobna, gdyż w niemal każdym przydrożnym zajeździe lub szynku krył się ktoś (od samego pana oberżysty do ostatniego popychadła ze stajni) pozostający na żółdzie tego czy innego herszta.

Takie mniej więcej niewesołe myśli snuł pocztylion dyliżansu, który piął się pod górę w okolicy Shooter w piątkową noc pod koniec listopada roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego piątego. Pocztylion stał na swojej grzędzie przymocowanej do tylnej części wehikułu, przytupywał dla rozgrzewki, a czujnym wzrokiem i nie mniej czujną dłońią pieścił skrzynię na broń, gdzie nabita rusznica leżała na kilku nabitach pistoletach, te zaś spoczywały na podściółce z broni białej.

Niepokój pospolity w owych czasach towarzyszył zmierzającemu do Dover dyliżansowi: pocztylion podejrzewał pasażerów, a pasażerowie pocztyliona i siebie nawzajem, wszyscy podejrzewali wszystkich, a woźnica pewien był jedynie koni i z czystym sumieniem mógł poprzysiąc na Stary i Nowy Testament, że nie nadają się do dalszej drogi.

– Hej! Wio! – wołał woźnica. – Wio! Raz, a dobrze! Na samą górę! Wio! Bodaj to wszyscy diabli! Alem się z wami namordował! Joe!

– Aha? – ocknął się pocztylion.

– Która godzina?

– Co najmniej dziesięć po jedenastej.

– Do licha! Dziesięć po jedenastej, a my jeszcze pod Shooter. Hej! Wio! Bodaj to wszyscy diabli!

Prawy lejcowy dostał batem w chwili, gdy z powątpiewaniem potrzasał głową, szarpnął więc i pociągnął za sobą resztę zaprzęgu. Jeszcze raz dylizans przyspieszył, a długie buty zatupały żywiej u jego drzwiczek. Gdy wehikuł stawał, pasażerowie zatrzymywali się i zbijali w gromadkę. Gdyby w takiej chwili którykolwiek zaproponował drugiemu wspólny spacer przed końmi we mgle i ciemnościach, naraziłby się na to, że bez ostrzeżenia zostanie zastrzelony jako bandyta na publicznej drodze.

Ostatni zryw wciągnął pojazd na grzbiet wzgórza. Woźnica zatrzymał konie, aby dać im odpoczynek. Pocztylion zeskoczył ze swego miejsca, chcąc sprawdzić hamulce przed zjazdem i otworzyć drzwiczki dla podróżnych.

– Tsss, Joe! – syknął ostrzegawczo woźnica.

– Co nowego, Tom?

Obydwaj zaczęli nasłuchiwać podejrzliwie.

– Powiedziałbym, że koń zbliża się klusem – oznajmił Tom.

– A ja powiedziałbym: galopem – uzupełnił Joe i opuściwszy posterunek przy drzwiczkach, zwinnie skoczył na grzędę. – Panowie! Stać! Rozkazuję w imieniu króla! – zawołał, odwodząc kurek rusznicy, i przyjął postawę obronną.

Pasażer, który ma w naszej opowieści niejaką rolę do odegrania, trzymał nogę na stopniu, dwaj pozostali następowali mu na pięty, gotowi szybko zająć miejsca. Po groźnym okrzyku pocztyliona pierwszy znieruchomiał z głową we wnętrzu pojazdu, drudzy – stojąc na gościńcu. Wszyscy przenieśli wzrok najpierw z Joego na Toma, potem z Toma na Joego i nadstawili uszu. Woźnica i pocztylion bacznie spojrzeli wstecz, a prawy lejcowy poszedł za ich przykładem, nie wyrażając tym razem powątpiewania.

Cisza nocna była tym bardziej martwa, gdy umilkł stukot i chrzęst ciężkiego wehikułu. Zdrożone konie dygotały lekko i drżenie to zdawało się udzielać dylizansowi, jak gdyby był nadal w ruchu. Serca podróżnych biły silnie, niemal dosłyszalnie, lecz wszystkie te odgłosy potęgowały jedynie milczenie przywodzące na myśl ludzi zdyszanych i powstrzymujących oddech, ludzi,

których krew pulsuje rytmem przyspieszonym od trwożnego oczekiwania.

Tętent galopującego konia zbliżał się szybko i coraz donośniej.

– Hej, tam! – huknął pocztylion najpotężniej, jak umiał. – Stój, bo strzelam!

Galop ustał raptownie, aż błoto zachlupotało, i w ciemnościach zabrzmiał głos mężczyzny:

– Czy to dyliżans do Dover?

– Nic ci do tego, bracie – odkrzyknął Joe. – A ty coś za jeden?

– Czy to dyliżans do Dover?

– Dlaczego pytasz?

– Mam interes do jednego pasażera.

– Jakiego pasażera?

– Do pana Jarvisa Lorry’ego.

Pasażer, który ma w naszej opowieści niejaką rolę do odegrania, zdradził niezwłocznie, iż usłyszał własne nazwisko. Pocztylion, woźnica i dwaj pozostali podróżni zerknęli nań nieufnie.

– Nie ruszaj no się, bracie – rzucił pocztylion pod adresem głosu dobywającego się z mgły – bo jak popełnię omyłkę, nie zdążę naprawić jej za twojego życia. Może pan Lorry sam porozumie się z tym człowiekiem.

– O co chodzi? – zapytał pasażer cokolwiek drżącym głosem. – Kto ma do mnie sprawę? Czy to Jerry?

– U licha – mruknął do siebie Joe. – Jeżeli to nawet Jerry wcale nie podoba mi się jego chrypa. Stanowczo coś zanadto ochrypnięty.

– Tak, panie Lorry – odpowiedział głos.

– O co chodzi?

– Mam wiadomość dla pana. Od T. i Spółki.

– Pocztylionie, znam tego posłańca – oznajmił pan Lorry, schodząc ze stopnia, w czym pomogli mu (bardziej skwapliwie niż uprzejmie) dwaj towarzysze podróży, którzy błyskawicznie schronili się do wnętrza dyliżansu, zatrzasnęli za sobą drzwiczki i podnieśli okno. – Może się zbliżyć. Żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

– Może i nie grozi – mruknął znów do siebie Joe. – Ale nie jestem tego całkiem pewien. Hej! Ty!

– Hej! Ty! – powtórzył Jerry głosem jeszcze bardziej ochrypłym niż wprzód. – Czego chcesz?

– Możesz podjechać. Stępa! Rozumiesz? A jeżeli masz ostrza przy siodle, żebyś mi ich nie macał, bo się omył i napakuję ci do łba ołowiu. Piekielny raptus ze mnie. Rozumiesz? No, zobaczmy zaraz, coś za jeden.

Z mglistych oparów wyłoniła się wolno sylwetka jeźdźca. Przystanął koło pasażera oczekującego przy drzwiczkach dyliżansu. Nachylił się w siodle i, zerkając spode łba w stronę pocztyliona, wręczył panu Lorry’emu złożoną ćwiartkę papieru. Koń był spieniony, a bryzgi błota plamiły zwierzę i człowieka od podków po czubek kapelusza.

– Pocztylionie – odezwał się pan Lorry spokojnym, rzeczowym tonem.

– Słucham – odpowiedział zwięźle Joe, nie odrywając palca od cyngla rusznicy, a wzroku od podejrzanego posłańca.

– Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo – powtórzył pan Lorry. – Jestem pracownikiem Domu Bankowego Tellsonów. Musiałeś chyba słyszeć o Domu Bankowym Tellsonów w Londynie? W sprawach firmy wybieram się do Paryża. Pięć szylingów na piwo. Mogę to przeczytać?

– Oczywiście, skoro wielmożny pan tak uprzejmie prosi. Tylko szybko, jeśli łaska.

Pasażer rozwinął kartkę i przy świetle latarni dyliżansu przeczytał zrazu cicho, następnie zaś na głos:

– „Czekać w Dover na mademoiselle”. Hm, jak widzisz, pocztylionie, list nie jest długi. Jerry! Powtórz moją odpowiedź: WRÓCONY ŻYCIU.

– To diablo dziwna odpowiedź – mruknął ochryple Jerry, prostując się w siodle.

– Powtórz ją tylko, a będę wiedzieli, że otrzymałem wiadomości tak niezawodnie, jak gdybym dał ci pokwitowanie na piśmie. No, ruszaj! A nie oszczędzaj konia w powrotnej drodze. Dobrej nocy, Jerry!

Z tymi słowy pan Lorry odemknął drzwiczki i wgramolił się do dyliżansu bez pomocy pasażerów, którzy przezornie ukryli w butach sakiewki i zegarki, obecnie zaś udawali, że drzemią, sądząc, iż wszystko inne jest ryzykiem.



Dylizans

Wehikuł znów ruszył ciężko pośród gęstych tumanów opadającej mgły. Pocztylion odłożył rusznicę do skrzyni na broń, uważnie zbadał wzrokiem zawartość tej skrzyni, zmacał tkwiące za pasem pistolety i wreszcie zajrzał do umieszczonej pod tylnym kozłem skrytki zawierającej nieco narzędzi, dwie pochodnie i puszkę z krzemieniem, hubką i krzesiwem. Dylizans był w nie wyposażony, aby w razie gdy latarnie zawiodą z jakichś przyczyn, konduktor mógł zamknąć się we wnętrzu pojazdu i chroniąc słomę przed iskrami, postarać się o światło w stosunkowo niedługim czasie (przy odrobinie szczęścia – nawet w ciągu pięciu minut).

– Tom – zabrzmiało cicho nad dachem wehikułu.

– Co powiesz, Joe?

– Słyszałeś tę odpowiedź?

– Słyszałem, Joe.

– Zrozumiałeś co, Tom?

– Nic, Joe.

– A to się dobrze składa – mruknął pocztylion – bo i ja nic nie zrozumiałem.

Tymczasem Jerry został sam pośród mgły i mroków. Zeskoczył z siodła, nie tylko chcąc dać wytchnienie zdrożonemu koniowi, lecz również po to, by obetrzeć twarz i wylać co najmniej pół galona wody, która zebrała się w szerokim rondzie kapelusza. Przez chwilę stał z wodzami zarzuconymi na zbryzgane błotem ramię, a kiedy umilkł turkot dylizansu i zaległa znów cisza nocy, odwrócił się i pieszo ruszył z góry.

– No, stara – mówił trochę do siebie, a trochę do swojej klaczy – po takim galopie z Temple Bar zaufam twoim nogom dopiero na równym gruncie. „Wrócony życiu”... Hm... Diabło dziwna odpowiedź. Oj, Jerry, Jerry! To całkiem nie w twoim guście. Gdyby wracanie do życia miało wejść w modę, ładnie by wyglądały, Jerry, twoje interesy.

Rozdział III

CIEŃIE NOCY

Wspaniały temat do rozważań daje zdanie, że człowiek stanowi nieprzeniknioną zagadkę dla wszystkich innych ludzi. Ilekroć przybywam nocą do wielkiego miasta, ulegam posępnym myślom, bo każdy z ciemnych, zabezpieczonych okiennicami domów kryje przecież własną tajemnicę, każdy pokój we wszystkich owych domach kryje własną tajemnicę, każde serce bijące w setkach tysięcy piersi jest pod wieloma względami tajemnicą nawet dla najbliższego mu serca. Ma to wymowę grozy, ma wymowę samej Śmierci! Nie wolno mi odwracać kart ulubionej księgi, którą kochałem i w swoim czasie spodziewałem się przeczytać do końca. Nie wolno spoglądać w bezdenne głębie wody, gdzie przy blaskach przelotnego światła widywałem niegdyś zatopione skarby i inne dziwne pogrzebane pod falami. Przesądzone było, że księga zamknie się na zawsze, gdy zdążę przebiec wzrokiem zaledwie stronicę. Przesądzone było, że woda zastygnie wiecznym lodem, gdy blaski rozjaśnią tylko jej powierzchnię, a ja zostanę na brzegu nieświadom sekretów. Mój przyjaciel nie żyje, mój sąsiad nie żyje, moja miłość, ukochanie mojej duszy, nie żyje. Śmierć umacnia i utrwała zagadkę, którą każda indywidualność nosi w swojej głębi i którą ja nosić muszę aż do końca moich dni. Czy jednak na licznych cmentarzach miasta moich codziennych wędrówek śpi ktoś w tajnikach swojej osobowości równie nieprzenikniony jak ja dla ruchliwych mieszkańców tego miasta albo też oni dla mnie?

Pod względem takiego przyrodzonego i godnego najgłębszej uwagi dziedzictwa konny posłaniec był równie bogaty jak król, jak

premier, jak najzamożniejszy z londyńskich kupców. Podobnie rzecz się miała z trzema pasażerami zamkniętymi w ciasnym wnętrzu podskakującego na wybojach starego dyliżansu. Wzajemnie stanowili dla siebie tajemnicę tak całkowitą, jak gdyby każdy podróżował samotnie sześć- lub sześćdziesięciokonną karocą, a między nimi rozciągał się obszar całego hrabstwa.

Posłaniec wracał do Londynu swobodnym truchtem. Bardzo często wstępował do przydrożnych karczm, aby się napić, unikał wszakże rozmów, wołał osłaniać czoło kapeluszem i nie pokazywać oczu, co zresztą mogło im wyjść tylko na dobre – były bowiem czarne, pozbawione głębi w barwie czy może kształcie, osadzone o wiele za blisko siebie, jak gdyby jedno obawiało się, że zostanie na czymś przyłapane, jeżeli oddali się zbyt od drugiego. Oczy te świeciły ponuro pod starym kapeluszem przypominającym trójkątną spluwaczkę i nad ogromnym szalem, który osłaniając brodę i szyję, spływał niemal do kolan. Kiedy posłaniec wstępował do karczmy, aby się napić, unosił lewą ręką szal w chwili, kiedy prawą wlewał do ust trunek, i niezwłocznie maskował się ponownie.

– Nie, nie, Jerry – mamrotał po drodze, wracając ustawicznie do tego samego tematu. – To na nic! Nie dla ciebie interes. Całkiem nie godzi się z twoim fachim uczciwego rzemieślnika. Wrócony życiu! Słowo daję! Stary musiał nieźle pociągnąć z wieczora.

Biedny posłaniec tak medytował nad dziwnym zdaniem, którym obarczono jego pamięć, że kilka razy uchylał kapelusza, aby pochrapać się w głowę. Poza ciemieniem (wyłysiałym kępkami) włosy miał czarne, sztywne, najeżone, rosnące za nisko, prawie sięgające szerokiego, płaskiego nosa. Włosy te, jak gdyby kowalskiej roboty, podobniejsze były do żelaznych kolców na szczycie muru niż do normalnej ludzkiej czupryny. Najwytrawniejszy gracz w „barani skok” mógłby bez ujmy odmówić zabawy z panem Jerryem, uważając słusznie, że trudno znaleźć na świecie osobnika, który ustanowi niebezpieczniejszą przeszkodę.

Jerry człapał w stronę Londynu, wioząc zlecenie, które miał powtórzyć dozorczy nocnemu drzemiącemu w swojej budce przed drzwiami Domu Bankowego Tellsonów niedaleko Temple Bar, aby dozorca zaniósł je do wnętrza domu i powtórzył z kolei komuś

znacznie ważniejszemu w bankowej hierarchii. Cienie nocy przybierały dla posłańca takie kształty, jakie nasuwało dziwaczne zdanie, a dla jego wierchowki takie, jakie wynikały z jej osobistych powodów do niepokoju, które musiały być liczne, gdyż klacz boczyła się na widok każdego nowego cienia na gościńcu.

Tymczasem dyliżans odbywał nadal uciążliwą drogę i wioząc trzech towarzyszy podróży, z których każdy stanowił dla pozostałych zagadkę nie do rozwiązania, przechylał się, podskakiwał, trzeszczał i turkotał. Dla pasażerów cienie nocy układały się również w kształty, jakie podpowiadały wyobraźni zaspane oczy i leniwe myśli.

Należy przyznać, że Dom Bankowy Tellsonów zajmował poczesne miejsce we wnętrzu starego wehikułu. Związany z tym bankiem pasażer siedział z ręką wsuniętą w rzemienną pętlę, dzięki czemu nie bombardował swoim ciężarem sąsiada i na szczególnie dotkliwych wybojach nie spychał go w przeciwległy kąt głównego siedzenia. Drzemał, kiwał się z półprzymkniętymi oczyma i przy mdłym świetle latarń dyliżansu przenikającym przez małe okienka widział nie pękatą figurę towarzysza podróży, lecz Dom Bankowy Tellsonów, gdzie odbywały się wielkie transakcje. Chrzęst uprząży wydawał się dźwiękiem monet, a w ciągu pięciu minut kasa honorowała więcej strat i wypłaciła więcej pieniędzy, niż zdołała wypłacić w ciągu czasu trzykrotnie dłuższego mimo rozległych krajowych i zagranicznych stosunków starej firmy. Następnie pasażer zszedł do bankowych piwnic, gdzie otwały się przed nim wszystkie znane mu (a znał ich bardzo wiele) okute i tajemne schowki. Z wielkimi kluczami w rękę pan Lorry spacerował po podziemiach i przy nikłym płomyczku świecy upewniał się, że skarbiec jest równie bezpieczny, pewny, nienaruszony i cichy, jak w ten czas, gdy oglądał go po raz ostatni.

Jakkolwiek jednak bank prawie go nie opuszczał, a dylemat (nie- wyrażnie, niby ból złagodzony narkotykiem) towarzyszył stale, podróżny zdawał sobie sprawę z trzeciego nurtu wrażeń, który równolegle płynął pośród nocnych mroków. Pan Lorry wiedział, że musi odkopać kogoś z grobu, i wciąż go odkopywał.

Cienie nocy nie wyjaśniały, która z licznych pojawiających się twarzy jest właściwą twarzą człowieka pogrzebanego. Ale wszystkie

te twarze zdawały się należeć do czterdziestokilkuletniego mężczyzny, a różniły się między sobą głównie uczuciami, jakie wyrażały, i stopniem upiornego wyniszczenia. Duma, pogarda, upór, poddanie, rozpacz, pragnienie walki następowały kolejno. Podobnie odmieniały się zapadłe policzki, trupa cera, wychudłe ręce i palce. Twarz wszakże była na ogół jedna i ta sama, i zawsze ocieniały ją przedwcześnie posiwiałe włosy. Sto razy drzemiący pasażer rzucał widmu pytanie:

- Kiedy cię pogrzebano?
- Blisko osiemnaście lat temu – brzmiała niezmienna odpowiedź.
- Utraciłeś wszelką nadzieję, że będziesz kiedyś odkopany?
- Od dawna.
- Wiesz, że zostałeś wrócony życiu?
- Tak ludzie mówią.
- A pragniesz żyć?
- Nie potrafię na to odpowiedzieć.
- Czy mam ci ją pokazać? Czy chcesz pójść ze mną, aby ją zobaczyć?

Odpowiedzi na to ostatnie pytanie bywały rozmaite i nawzajem sobie przeczyły. Raz zdławiony głos szeptał:

- Poczekaj, zabić mnie może przedwczesne z nią spotkanie.

Innym razem potoki tklivych łez towarzyszyły słowom:

- Prowadź mnie do niej.

Albo wreszcie odpowiedź brzmiała tonem niepewności i zdumienia:

- Nie wiem, kim jest ONA. Nic nie pojmuję.

Po takich urojonych dyskursach pasażer dyliżansu poczynił wyobrażać sobie, że kopie, kopie, kopie – raz łopatą, raz wielkim kłuczem, raz gołymi rękoma – aby odgrzebać ową nieszczęsną istotę. Kiedy zaś znajdował ją wreszcie z twarzą i włosami umazanymi gliną, nagle rozsypywała się znowu w proch. Wówczas pasażer budził się i opuszczał okno, aby realizmem deszczu i mgły ostudzić rozpłomienione policzki.

Ale nawet wtedy, gdy otwartymi oczami oglądał deszcz i mgłę, i ruchome plamy świetlne z latarni, i przydrożny żywopłot umykający skokami – nawet wtedy nocne cienie z otwartej przestrzeni mieszały się z nocnymi cieniami z wnętrza dyliżansu. Pojawiał się

prawdziwy dom bankowy z okolic Temple Bar, prawdziwe transakcje dnia ubiegłego, prawdziwe kasy i schowki pancerne oraz posłaniec wysłany śladem dyliżansu i odpowiedź udzielona mu ustnie. A pośród tego wszystkiego powstawała znowu upiorna twarz i rozmowa nawiązywała się od nowa:

- Kiedy cię pogrzebano?
- Blisko osiemnaście lat temu.
- A pragniesz żyć?
- Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Pan Lorry zaczynał znowu kopać, kopać, kopać, póki niecierpliwy ruch jednego z towarzyszy podróży nie zwrócił mu uwagi, że wypadaloby jednak podnieść okno. Wówczas siadał wygodnie, wsuwał rękę w rzemienną pętlę i poczynął zastanawiać się nad dwoma śpiącymi sąsiadami, którzy jednak wymykali się z jego myśli i niknęli znów w banku i w grobie.

- Kiedy cię pogrzebano?
- Blisko osiemnaście lat temu.
- Utraciłeś wszelką nadzieję, że będziesz kiedyś odkopany.
- Od dawna.

Te właśnie słowa brzmiały mu wyraźnie w uszach – wyraźniej niż jakiegokolwiek słowa, które słyszał w życiu – kiedy pan Lorry ocknął się i zobaczył, że rozproszyły się cienie nocy.

Opuścił okno i spojrzał na brzask nowego dnia. Przed sobą miał szmat zoranego pola i pług pozostawiony tam, gdzie ubiegłego wieczora wyprężnięto konie. Dalej sterczała kępa drzew, na której pozostało jeszcze wiele płomiennoczerwonych i złocistożółtych liści. Ziemia była wilgotna i chłodna, ale na czystym niebie słońce wschodziło jasno, pięknie i spokojnie.

– Osiemnaście lat! – westchnął pasażer, spoglądając na złocistą tarczę. – Zmiłuj się, miłosierny Stwórco dnia! Być pogrzebanym żywcem przez osiemnaście lat!